

Teksty Drugie 1998, 5, s. 168-171



Mickiewicz i ja – pisarze o Mickiewiczu: Mickiewicz był młody

Józef Hen

Dla mnie polska literatura, w czasach stanisławowskich jeszcze polifoniczna, mająca obok siebie i Karpińskiego, i Trembeckiego, i barszczan, i Kandyda, i de Sade'a, Russa i wojska na smokach latające, z nastaniem Mickiewicza stała się jak literatura rosyjskiego imperium z nastaniem Stalina: jedynie słuszną a głuchą i ślepą na rzeczywistość. Zawistna walka o monopol kulturotwórczy, ignorowanie niewygodnych faktów i natręctwo wyescalowanych, nieweryfikowalnych kategorii tam, gdzie przydaje się właśnie prozaiczne a trzeźwe stanięcie na ziemi, są owocami stalinizmu – i psychicznego stalinizmu wprowadzonego u nas przez Mickiewicza, obu toksycznych osobowości nieczułych na matki, żony i przywoływanych filozofów.

Ostatnia rzecz: nie uważam Mickiewicza poezji za piękną. Ja piękno odczuwam całościowo, w jego greckim jeszcze kontekście: Sophii i Agape. Bo sztuka ma bardzo mało wspólnego z formalną estetyką, co wykazał już Sokrates u Platona. Estetyka w gruncie rzeczy wyraża naszą głuchą nienawiść do sztuki jako doświadczania tych metaestetycznych horyzontów, jakie uosabiał Apollin podróżujący do Krainy Cienia, Apollin, którego delfickie sanktuarium wzywało do samopoznania z całym ryzykiem, że konstatacje okażą się nieoczekiwane, niewygodne, zmuszające do przewartościowania pewników. Otóż Apollin „rozszarpywał” artystów, co jak Marsjasz naruszał autonomię artystycznej świętej enigmy. Którzy rywalizowali z Bogiem i starali się go wykluczyć, a przynajmniej odsunąć na bok. Ich słuchacze – mówi mit – byli jak Midas, uszy mieli ośle. Wiedzieli o artyzmie dopiero wtedy, w zasadzie, gdy ich poinstruowano. Jak nas, którzy od dziecka pouczeni jesteśmy o wielkości Mickiewicza, o jego uroku. Jakby w obawie przed ryzykiem, że spontaniczny odbiór doprowadziłby ku innym wnioskom. I „rozszarpał” polskiego Marsjasza.

Józef Hen

Mickiewicz był młody

Tak się złożyło, że właśnie teraz, w roku mickiewiczowskim, jestem z pewnych przyczyn pochłonięty Boyem-Żeleńskim. Nie mówię tego po to, żeby mieć pretekst do spojrzenia na Mickiewicza poprzez *Brązowników*. Wręcz przeciwnie, wolę odsunąć tę książkę na bok. *Brązowników* czytałem jeszcze w gimnazjum i pamiętam, że było

to coś bardzo podniecającego. Książka dla gimnazysty wręcz sensacyjna – zwłaszcza w tej warstwie, którą można nazwać detektywistyczną – ale także dzięki demaskatorstwu, odkrywczości i przekorze. Dzisiaj *Brązownicy* nie są moją ulubioną lekturą. Po pierwsze – i to jest los tego typu książek – przestała być odkryciem. Już wszystko wiadomo. Alina Witkowska i Krzysztof Rutkowski zaszli o wiele dalej w penetracji świata towiańczyków niż mógł (czy chciał) pójść Boy-Zeleński. Po wtóre, mam żal do Boya właśnie o te „detektywistyczne” rozdziały, o to tropienie śladów, czy Mickiewicz umarł otruty. Poniósł go temperament dziennikarski – bo on się uważał za dziennikarza, nie raz to podkreślał, pisząc dla „Kuriera Porannego”, i starał się o coś pożywnego dla gazety. Jednak szkic *Mickiewicz a my*, którym poprzedził wydanie Kridlowskie, jest nadal wspaniały, podobnie zresztą jak – zadziwiająco bliski w tonie – odczyt wygłoszony w dwanaście lat później (wszystkiego dwanaście lat!) we Lwowie, z okazji uroczystości mickiewiczowskich. Te dwa teksty spinają klamrą to, co miał nam do powiedzenia „najskromniejszy z ludu czytelników, zarazem namiętny czciiciel poety”. *Brązownicy* byli w środku.

Więc nie o to spojrzenie idzie. Chcę mówić o odkryciu na nowo wielkiej poezji romantycznej po tym, jak „wybuchła niepodległość”, w roku 1918. Już nie musiała ta poezja budzić z uśpienia, wzywać do czynu, już nie musiała oddawać hołdu pomordowanym i zesłanym, hodować polskości, zastępować państwa, wojska narodowego, urzędnika, policjanta i pana starosty. Można już, powiada Boy (w tym samym duchu, co Lechoń i w ogóle skamandryci) słuchać jej bez ściśnięcia serca, bez dawnego uczucia upokorzenia, do którego Boy się przyznaje. „Ach, jak on ślicznie gada, ten Słowacki!” – wykrzykuje recenzując *Kordiana*.

A co myśmy zrobili z Mickiewiczem? „To grafoman!” – usłyszałem ku swojemu zdumieniu (nawet nie zgorszeniu) od pani zaczytującej się Cortazarem i Llosą. Oczywiście, można wytknąć tej pani brak słuchu po prostu, może i brak, mimo ogromnej pewności siebie, głębszej kultury literackiej, ale – jak do tego mogło dojść? I dlaczego pewna odpowiedzialna redaktorka czołowego wydawnictwa – nie z działu literatury polskiej, na szczęście – mogła wyznać, że nigdy nie potrafiła przebrnąć przez *Pana Tadeusza*? Owszem, takie rzeczy można było usłyszeć czasem w szkole od kolegów, ale przecież nie od tych o zainteresowaniach humanistycznych. Nasz „Polak”, Ludwik Rath, autor kilku szkiców w „Wiadomościach Literackich” i książki o A.F. Bronikowskim, umiał wzbudzić entuzjazm dla *Ody do młodości*. Nie kazał nam pisać wypracowań *Za co kochamy „Pana Tadeusza”*, co odrobił za wszystkich Ignacy Chrzanowski, ale zaproponował nam rozważenie winy Jacka Soplicy i zastanowienie się, czyja metamorfoza bardziej do

nas przemawia: jego czy Kmicica. Pamiętam, jak odwiedziła szkołę Kazimiera Richterówna z recytacją *Wielkiej Improwizacji*. Ciarki przechodziły przez skórę. Wszyscy czuli, że obcuja z czymś porywającym, zatykającym dech. Któżby, słuchając tego, myślał o więzieniu, kajdanach, męczeństwie, wywózkach – nie mieliśmy takich skojarzeń. To była wielka poezja, dramat ludzki, który dotyczył każdego.

Sę w tym, że Mickiewicz poeta, przynajmniej od roku 1949, gdzieś znika. Był i jest traktowany instrumentalnie. Najpierw jako socjalista, przyjaciel „Moskali” i redaktor „Trybuny Ludów”. W pewnym okresie, w interpretacji Gomułki, dla odmiany jako wróg tychże Moskali, nacjonalista i w ogóle przeciwnik sojuszu polsko-radzieckiego. Potem wrócił jako piewca męczeństwa i trochę się nawet w tej pozycji zasiedział. Oczywiście, to wszystko w nim jest i byłoby barbarzyństwem cenzurowanie go, zapomnianie o wierszu *Do Matki Polki*, ale sprzeciw budzi jednostronność, naginanie go do intencji politycznych. W młodocianym telewizorze, który dopiero teraz wchodzi w Mickiewicza, a którego agituja (nie waham się użyć tego słowa) ciągnącą się jak przesłuchanie sceną więzienną z *Dziadów*, budzi się opór: ach, to ten nudziarz od martyrologii. Oglądając ostatni spektakl, można było chwilami odnieść wrażenie, że Mickiewicz to taki epigon Trznadla i Rymkiewicza, który pisze teksty dla „Karty” z ramienia Rodziny Katyńskiej. Poezja została stłamszona przez agitkę.

Trzeba przywrócić Polakom Mickiewicza. Przywrócić młodego poetę, który zrewolucjonizował polski wiersz. Przywrócić wspaniałego młodzieńca „wspartego na Judahu skale”. Przypomnieć, że po *Dziadach*, po *Księgach pielgrzymstwa* napisał *Pana Tadeusza* – i tym trzydziesto- pięcioletni poeta zamknął właściwie swój dorobek poetycki. Ten przedwcześnie postarzały emigrant, ojciec sześciorga dzieci, wykładowca, działacz, religiant, mistyk – nie jest już poetą. Młodemu czytelnikom musi pozostać obcy.

Pan Tadeusz! Baśnią nazwał tę powieść bodajże Julian Przyboś – i słusznie: ten rzekomy „kraj lat dziecinnych” jest wysnuty z fantazji; nigdy mały Adaś, syn mecenasa z Nowogródka, nie mieszkał w żadnym Sopolicowie, dzieciństwo jego nie upłynęło między Gerwazym a Protazym, i właśnie dlatego, dzięki wyobraźni twórczej, która pozwoliła mu powołać do życia wszystkie te tak soczyste postacie, dzięki więc wyobraźni i cudowi języka ta powieść wierszem jest dla wszystkich. Może być dla wszystkich. Baśń o „centrum polszczyzny”. Kiedyś były obawy, czy sięgający po literaturę „lud” (zostałmy przy tym określeniu) nie odrzuci dzieła jako czegoś obcego: nie ma w *Panu Tadeuszu* chłopów, z wyjątkiem tych pocziwin z ostatniej księgi, którzy z wdzięcznością przyjmują zamianę pańszczyzny na czynsze. Tak samo Boy-

-Żeleński wyraził obawę, w słynnej recenzji z *Zemsty*, o reakcję wnuków murarza: panowie się swarzą o mur, a kije dostaje murarz. Moglibyśmy dziś Boya uspokoić: nie wiem, jak z wnukami, ale prawnuki murarza nie solidaryzują się ze swoim przodkiem. Identyfikują się raczej z Cześniakiem, Rejentem i Waclawem, nawet z Papkinem – nie z murarzem; nie z tymi, których bito, ale z tymi, którzy bili. Szlachetczyzna stała się praojczyzną Polaków: nie wiem, czy to dobrze, ale to fakt. Z kim się identyfikuje chłopski czytelnik *Ogniem i mieczem*: ze sługą Rzędzianem (zresztą szlachetką), czy z jego panem, Skrzetuskim? Taka jest magia arcydzieł literatury. I to jest nowa szansa *Pana Tadeusza*.

Bo nie jest prawdą, że szansą tą, „obok liryków, cyklów sonetowych porażających poetycką genialnością”, jest „wzrastająca uwaga”, jaką „będziemy poświęcać Mickiewiczowi publicyście i profesorowi w Collège de France – jak pisze Alina Witkowska. – Nasze myślenie o wspólnej Europie, coraz bardziej przybierające kształty realne, było wszak wielką polityczną utopią Mickiewicza...”. Dobrze, było, ale kogo to obchodzi? To jest temat, zgoda, ale dla wąskiej grupy specjalistów, doktorantów, którzy będą czytać sami siebie. Mickiewiczowi, który zarabiał na rodzinę wykładami, zdarzało się mówić rzeczy, które drażniły ludzi o niezamąconym umyśle, Hercena na przykład. Najważniejsze, żeby nie ukatrupić Mickiewicza nową scholastyczną dłubaniną. Jeśli ktoś będzie sięgać do dzieł poety, to nie po to, by się dowiedzieć, co myślał o Unii Europejskiej. Sięgamy do niego, bo to był pierwszy Polak, który tak cudownie pisał, i to zrozumiałym dla wszystkich językiem. Potem było kilku innych, o których możemy się spierać. Ale on był pierwszy – i o to kłótni nie ma.

Julian Kornhauser

Pośmiertne życie Konrada Wallenroda. Adam Mickiewicz – człowiek. Studium psychologiczne. Zwłoki Mickiewicza. Makawelizm i imperatyw jawności. Zabijanie Mickiewicza... To tylko niektóre z ostatnich prac o naszym „wieszczu”, „Geniuszu”, „Mistrzu”. I jakże wymowne! Nie są to studia o twórczości, o niej napisano już tyle opasłych tomów, ale o nim samym, za życia i po śmierci. To niesamowite zainteresowanie w ostatnich latach osobą Mickiewicza, jego recepcją, rolą na emigracji i wśród towiańczyków wydaje mi się bardzo